№ 47. Warszawa, dnia 9 (21) Listopada 1885 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

PRACA NASZYCH KOBIET.

(Dokończenie.)

My tyle artykułów spożywczych sprowadzamy jeszcze z zagranicy, dlatego jedynie, że nie umiemy ich tak doskonale przyrządzać, a każdy grosz na to wydany do obcych jest ciężkiem oskarżeniem naszych kobiet o niegospodarność. Że nowe pomysły udają się, mamy już kilka dowodów: fabryka octu, prowadzona przez kobietę, wcale dobrze idzie; p. Krzymuski makaronami swemi wyrugował wszystkie obce wyroby: dlaczegóż by tak samo powieść się nie miało z owocami suszonemi, z wędlinami, pasztetami strasburskiemi, z serami? Pierwsze kroki byłyby trudne, a nawet kosztowne, bo już koniecznie nauczyć się trzeba tych wyrobów w miejscach, zkąd je sprowadzamy, ale z czasem ten wydatek hojnieby się powrócił.

Jest jeszcze jedna gałęź zarobkowania, bardzo przystępna dla kobiet: jedwabnictwo, które gdyby się rozwinęło w kraju naszym, mogłoby dać utrzymanie niejednej rodzinie. Jedwab' zawsze będzie w użyciu, nawet wtedy, gdy przez rozumną oszczędność, nasze panie nosić będą suknie i okrycia wełniane; wciśnie on się do ich stroju w postaci wstążki, aksamitu, koronki, tiulu. Jakież to wyborne zajęcie, naprzykład dla żon wiejskich nauczycieli. Przy każdej szkole znajduje się kawał gruntu, przydatny pod sadzenie morwy, a sama hodowla wymaga tylko kilkunastu tygodni do roku. Zajęcie to, prowadzone starannie, przyniosłoby kilkaset rubli dochodu, a może trzecią część pensyi mężowskiej: czyż to więc rzecz do pogardzenia? Również jedwabnictwem i ogrodnictwem śmiało zajmować się mogą żony urzędników po małych miasteczkach, gdzie pomiędzy domami jest dość wolnej przestrzeni na założenie ogrodu.

Jedwabnictwo zaś ma tę wyższość nad wszystkiem innem, że niewielkiego potrzebuje zachodu; i tak: kawałka ziemi zasadzonej morwą, której liście służą za pożywienie robaczkom, jedwab' snującym, suchego, słonecznego pokoiku gdzieś na górce i kilku rubli na jajeczka jedwabników i na potrzebne ramy i siatki. Gdyby nawet takie przedsiębierstwo nieudać się miało, to jeszcze można coś poświęcić na próbę, co zaś do samej umiejętności, to współka jedwabnicza w Warszawie, sprzedająca jajeczka, udziela prawdopodobnie i potrzebnych objaśnień.

Koronczarstwo rozwija się u nas, dzięki staraniom ludzi dobrej woli, dość pomyślnie, ale nici na koronki sprowadza się z zagranicy, a przecież i u nas len ślicznie się rodzi i tyle znalezćby można ochoczych prządek, bo nić ta koniecznie w ręku musi być snuta. Otóż uprawa lnu i wyrób z niego nici koronkarskich; dalej uprawa konopi na wyroby powroźnicze, także sprowadzane z za granicy, to zupełnie stosowne zajęcie dla kobiet. Znów byłby w gospodarstwie krajowem grosz oszczędzony, drobny wprawdzie, ale ważność którego wybornie określa stare przysłowie: „Ziarnko do ziarnka a zbierze się miarka".

Taki zwrot do zajęć gospodarskich nie powinien obniżyć poziomu wykształcenia naszych kobiet, ani zniechęcić ich do nabywania wiedzy; tembardziej o nią starać się muszą, że idą w świat do pracy samodzielnej, a im człowiek rozumniejszy, tem silniejszy. U nas nauka kobiet jeszcze nie jest uznana za konieczny warunek życia; wielu ludzi zapatrując się na nią jako na fach, kształcą jedynie dziewczęta swoje w tym celu, aby wykształcenie to przynosiło im korzyści i raz powiedziawszy sobie: „nie będzie nauczycielką", zaprzestają wszelkich starań w tym kierunku. Myśl jasna, że nauka po za materyalnemi korzyściami, przynosi nieocenione i istotne skarby w podniesieniu umysłu i serca, w uszlachetnieniu naszych pojęć, że jest przy każdem zajęciu, choćby najpospolitszem, pomocną i że ona jedynie wynosząc po nad poziomość życia i stosunków, już wszędzie i u nas uzyskała ogólne uznanie.

Kobiety nasze przy starannem domowem wychowaniu, silne posiadaną wiedzą, dopiero śmiało wyruszyć mogą w świat szeroki po zarobek, który bliżej lub dalej od rodzinnego domu zawsze znajdą, i wtedy to staną w szeregu pożytecznych robotnic na niwie społecznej.

Gdyby kobiety zwróciły się chętniej do pracy gospodarczej, po miastach zrobiłoby się luźniej, wartość pracy kobiecej podniosłaby się znacznie i łatwiej byłoby o zarobek pracownicom, związanym stosunkami rodzinnemi, które ani tak przedsiębierczemi ani tak rzutnemi być nie mogą, bo przytrzymuje je umiejscowiony zarobek mężów, choć często niewystarczający na utrzymanie liczniejszej rodziny. One więc szłyby utartemi przez poprzedniczki swoje drogami, wyrabiając igłą, zajmując się nauczycielstwem i wszelkieni innemi robotami, nieodrywającemi od ogniska rodzinnego. Choć i po miastach wiele jest jeszcze rodzajów pracy przeoczonej. Jakże wiele rzeczy sprowadzamy z zagranicy.

Praca więc wszędzie znalazłaby się; trzeba tylko ochotnych robotnic i ludzi dobrej woli, którzy, mając bystrzejszy zmysł spostrzegawczy, wskazywaliby naszym kobietom drogi, po których iść mają; trzeba ogólnego zajęcia się tą kwestyą, a może pomiędzy wieloma znajdzie się głos dobrej rady, dającej się wprost w życiu zastosować. Najdzielniejszemi przecież pionierkami w tym kierunku będą same kobiety, coraz trudniejszemi warunkami zmuszane do pracy. One, byleby tylko duch był silny, znajdą w sobie dość przedsiębierczości i pomysłowej odwagi.

Kobiety pojedyńcze, samodzielnie stanowiące o losie własnym i swojej rodziny, mają wielką wolność w wyborze pracy i czas niedzielony pomiędzy inne obowiązki; inaczej się rzecz ma z kobietami zamężnemi. Dla nich trudniej o odpowiednią pracę, jeżeli zarobkiem swoim potrzebują pomagać mężowi, a jest ich wiele i coraz więcej takich przybywa. Mają one obowiązki wyłącznie ich dotykające: oto nawet w najtrudniejszych okolicznościach niewolno im domu odbiegać i porzucać, bo tu jest ich najświętsza i najpierwsza powinność, bo każde zaniedbanie w tym względzie wywołuje nieobliczone moce złych skutków. Kobiety matki i gospodynie domu śmiało nazwać można twórczyniami fizycznego i moralnego organizmu przyszłej społeczności, przygotowującemi drobne cegiełki na wzniesienie wielkiego gmachu. Materyał ten powinien być wyborny, bo od niego zależy trwałość budowy, a rzeczą matki, jej pracą społeczną jest stworzenie takich właśnie cegiełek samoistnych, które świadomie układałyby się do równowagi w murach społecznych. Wielka to praca i dostojna, ona sama nadaje prawo obywatelstwa kobiecie; lecz w dzisiejszych czasach, gdy wszystko oblicza się miarą doraźnych korzyści, wysokością zarobionych pieniędzy, nie dość ceniona i uznawana, nawet lekceważona często, jako nieprodukcyjna. A tymczasem jest-to bardzo mylne mniemanie, dowodzące wielkiej płytkości sądu.

Praca zarobkowa staje się więc prawem ogólnem dla wszystkich kobiet, których mąż ciężko wyrabiać musi na utrzymanie rodziny, tak jak praca poważnie pojęta w domu lub za domem, obowiązkiem wszystkich Polek bez względu na stan i majątek.

Matki rodziny zachowywać tylko mają baczenie na swe względem niej obowiązki, bo tu są najpotrzebniejsze i w samoistnej swej działalności przez nikogo zastąpione być nie mogą.

Trudnością w znalezieniu pracy, kobiety nasze nie powinny się zniechęcać, lecz walczyć o nią i w walce tej rozwijać wszystkie siły swego ducha, i ową przysłowiową zręczność i przebiegłość niewieścią, dopóki nie osiągną zwycięztwa.

Wymagania czasu coraz to surowsze; niedość dziś już poczucia obowiązku, ale oczyszczać trzeba drogi doń wiodące; panować nietylko nad sobą i nad własnem lenistwem, lecz i nad powstającemi przeciw nam okolicznościami, nawet po dobro trzeba iść przebojem!

Wanda Podgórska.

ZIEMIA SIĘ RUSZYŁA.

NOWELLA

NA TLE XVII WIEKU.

PRZEZ

Wiktora Czajewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Starowolski stanął jak słup i nie mógł ani słowa przemówić:

Wtem odezwał się głos z kuchni: panienko, panienko! i Marychna wybiegła z pokoju. Nie było więc innej rady, jak zwrócić się po tej rozmowie do sąsiadów. Siedzieli obydwaj przy stole zajęci miodkiem i rozmową.

— Ha, dobrze — bąknął Starowolski — każdy wiek ma swoje prawa — i zbliżył się ku stolikowi.

Proboszcz napełnił kubki miodem i mówił w dalszym ciągu:

— Uczyłem ją sam, a uczyłem wszystkiego, co kobieta wiedzieć powinna i to jest jedyna moja parafianka, która zna dobrze Ojców Kościoła i rozumie głęboką erudycyę tych świętych mężów, w szczególności zaś piękne myśli św. Tomasza z Akwinu, chociaż nie obcym jej jest i Tertulian i Duns Skotus. Wykładając jej Pismo Święte miałem sposobność, mówiąc o stworzeniu świata, wskazać na niebo, które Bóg tak cudownie zasłał gwiazdami. Jak to ono wygląda, proszę waszmościów, pięknie: oto ziemia, ten olbrzym nad olbrzymami, stoi pośrodku niewzruszenie, a koło niej obraca się siedm ogromnych planet. Słońce oświetla i ogrzewa ziemię, księżyc mniej regularny i punktualny, ukazuje się jeno z rzadka na niebie i to pod różnemi postaciami. Dalej znów Merkury, Mars, Jowisz i Saturn, a za nimi tyle gwiazd i gwiazdek ile ludzi na tej ziemi, a wszystko to jeno dlatego, aby przypominać nam wielkość Boga.

Birkowski i Starowolski spojrzeli po sobie.

— Waść, księżę proboszczu — ozwał się pan Szymon — zacofaliście się daleko. Nędzna nasza ziemia już teraz nie jest onym środkiem światów, jeno planetą poruszającą się około słońca. Ziemia się obraca.

Stary proboszcz osłupiał ze zdziwienia:

— Ziemia się obraca? Ależ to herezya! Prawda, nasz wiek nie jest wolny od heretyków, wszędy ich pełno... Boże zachowaj mnie od nich — pomyślał, i znów szeptał: — ziemia się obraca? *In nomine Patris et Filii et Spiritus...* — I znów milczał, aż po chwili odezwał się głosem drżącym od wzruszenia: — Waszmoście! ja jestem człowiek stary, uczciwy, pobożny. Wiem, że się po świecie włóczą różni ludzie, którzy zapominają pono zupełnie, że Odkupiciel powiedział: „I nie wódź nas na pokuszenie.” Wiem, że się tu wdzieracie pod pobożnemi nazwiskami, aby mnie skusić. Jestem jednak za stary na to i nie obałamucicie mnie, bo chcę przed sądem Bożym stanąć czystym, jak kryształ. Kocham Boga, czytuję ciągle Ojców Kościoła: św. Tomasza z Akwinu, Tertuliana, Duns Skota, wreszcie każda trawka, każdy listeczek przekonywa mnie o istnieniu Stworzyciela. Wszystko więc jest dla mnie święte, wszystko co Kościół tylko podaje, bo Kościół nasz święty, katolicki, miał wielkich, mądrych, uczonych poprzedników, miał w łonie swojem ludzi świętych, więc jakkolwiek gościnność polska nakazuje was przyjąć w domu, jednakże ja mam u siebie siostrzenicę bogobojnie wychowaną, ona może usłyszeć wasze zdanie, które padnie jak kąkol na dobrze uprawną rolę i wzrośnie szybko, zawiązując jej całą przyszłość. Jedźcie ztąd, proszę was...

— Waszmość, mości proboszczu, chyba nie wiesz co mówisz? — ozwał się Birkowski. — Widzisz waść, że jestem księdzem katolickim i również jak i wy sługą jednego świętego Kościoła. Że ziemia się obraca to nie grzech, ani nowatorstwo, jeno prawda. Wszystko Stwórcy wszechmocnemu jedno, czy ziemia stoi, czy się kręci około słońca. Nam jeno nie wszystko jedno, żebyście nas z domu wyrzucili, bo śnieg sypie i sypie, a droga zawiana. Miejcież chrześciańskie serce proboszczu i nie wypędzajcie nas z chałupy wtedy, kiedyby tego najgorszy heretyk nie uczynił. A przecież nie jesteście pewnie cudzoziemcem. Niepowinniście o starych obyczajach zapominać, bo gościnność w tej chwili jest tem samem, co Chrystus w miłości bliźniego zalecał.

Proboszcz po tej oracyi stał pochmurny i wahający się, a szepcząc pod nosem z przyzwyczajenia pacierze, które w tej chwili nie kleiły mu się wcale, trzykrotnie powtarzał cicho: *Pater noster qui es in...*

Birkowski i Starowolski nie odzywali się też wcale, jakby czekając odpowiedzi i na chwilę zapanowało głuche milczenie. Proboszcz stał ponury i zamyślony, Birkowski z niecierpliwością wpatrywał się w niego, tylko z izby czeladnej dolatywały głośne spory i kłótnie. Szczególniej jednak wyróżniał się głos Maciejowej, która z całych sił krzyczała:

— Tak, tak, zły duch może się przebrać nawet za księdza.

— Ej, nie plećta — przerwał jej Jasiek.

— Za księdza, miałby się przebierać? — z zadziwieniem ozwał się któryś ze słuchaczy. Przecie czart od święconej wody i od święconych rzeczy, jak człek od ognia ucieka. I jakżeby się przebierał w szaty święcone?

— Przebierał... przebierał... oj głupi ty, głupi, a któż tu mówi o przebieraniu i jeszcze w szaty święcone? Dyabeł ma tam dosyć sposobów, nietknie się nawet szat świętych, jeno ciebie tak otumani bestya, że ci się wszystko rzeczywistą prawdą zdawać będzie. Zły zawdy znajdzie sposób. Oszuka cię, omami...

— Pewnikiem, pewnikiem — odezwały się liczne głosy. — Oman, oman, to dopuszczenie Boże, dla próby uczciwego człowieka.

Słowa te chwytał chciwie proboszcz i powtarzał je sobie półgłosem: Oman! oman! to dopuszczenie Boże. *In secula seculorum Amen. Pater noster qui es in...*

Chwilę krytyczną przerwał młody, przystojny chłopak, wchodząc do izby ze słowami: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus:

Starowolski i Birkowski odpowiedzieli mu uprzejmie. Proboszcz szeptał pacierze.

— Oto są rachunki dochodów rocznych, proszę księdza proboszcza — przerwał organista, i niedokończywszy ze zdziwieniem zawołał:

— A, to wielebny ojciec Birkowski, kaznodzieja królewski.

Ukłonił się nizko, objął go za kolana i ucałował szaty gościa!

— A ty mnie zkąd znasz? — zapytał ze zdziwieniem Birkowski.

— A któżby to wielebnego księdza kaznodziei nie znał. Czy to mu mało nausługiwałem do mszy w Warszawie.

— A teraz...

— Wyuczył mnie organista grać i... dostałem się przez kanonika Ksawerego tutaj. Ale ta parafia nie podoba mi się bardzo, jeno...

I urwał nagle.

Ksiądz proboszcz patrzał na te scenę ze zdziwieniem, a po chwili odezwał się:

— To ty znasz tych panów?

— Ja jeno znam kaznodzieję Birkowskiego. Każe zawdy przy królu w Warszawie. Tak, proszę ojca, to inaczej mówi się przed szlachtą i królem, a inaczej przed tem bydłem-chłopstwem. Tam ludzie rozważają każde słowo, tłomaczą, a tu co?

— Prawda — przerwał proboszcz w lepszym nieco humorze — prawda, oprócz mojej siostrzenicy nikt w parafii u mnie nie rozumie i nie zna ani Tertuliana, ani św. Tomasza z Akwinu, ani Duns Scota... — A potem dodał żywiej: — Wybaczcie mi wielebny kaznodzieju królewski, ale człek wśród tylu herezyi musi się strzedz ludzi nieznanych. Posądziłem was, ale to jeno z gorliwości dla nauki Chrystusa. Wolno wam było ze starego sługi żartować, abyście się przekonali o jego gruntownych zasadach, o jego religijnem usposobieniu. Tak, tak, wolno wam było, a teraz wiedzcie, że mam gruntowne podstawy, że mógłbym i wśród heretyków się obracać, a wszystko to jeno zawdzięczam Ojcom Kościoła: świętemu Tomaszowi z Akwinu, Duns Skotowi i Tertulianowi, których pilnie czytuję. Żeby tak człek miał fundusze i pojechał na jaki odpust z kazaniem, kto wie, coby z niego szlachta zrobiła, a król możeby dał jaką intratną parafię, z którejby można uzbierać trochę grosza dla siostrzenicy na posag; ale tu siedzi człek i marnieje w tej dziurze, w tym zapadłym kącie, a lud ciemny nawet go nie rozumie. Tak, nierozumią mnie i chcą być zbawieni, nieznając nawet Ojców Kościoła.

Nie przerywano tej sumitacyi księdzu proboszczowi, ale kiedy skończył, Birkowski wstał i uderzając go w ramię rzekł:

— Mój proboszczu, nie wątpiliśmy ze Starowolskim ani na chwilę, żeś jest uczciwym chrześcianinem, a zatem niepotrzebowaliśmy was doświadczać. Że ziemia się obraca, to już fakt dowiedziony. Odkrył to uczony Polak, Kopernik, a teraz powracający z zagranicy Starowolski, przywiózł księgi drugiego astronoma Keplera, który potwierdza to zdanie.

— Potwierdza?

— Tak, bo są na to niezbite dowody.

— Że ziemia się kręci.

— Podwójnie. Raz około swojej osi, powtóre około słońca, ztąd też droga jej jest eliptyczna, a ziemia okrągła jak jabłko.

— Okrągła? a dowody?!

— Są i dowody — przerwał tym razem Starowolski — ażeby się przekonać, że ziemia jest okrągła dosyć wstać rano i uważać na wieżę wiejskiego kościołka. Najpierw promienie oświetlą krzyż, potem z wolna będą się posuwały aż ku ziemi. Toż samo powtórzy się jeżeli będziemy się zbliżali ku kościołowi. Takich dowodów jest wiele.

— Jak-to i Kościół święty je potwierdził?

— A jakżeby było inaczej, mości proboszczu. Ludzi uczonych, rozświetlających zagadnienia naukowe, proteguje i Kościół i król, który nawet bardzo hojnie nagradza uczonych. Sam Papież słuchał Kopernika.

(*Dokończenie nastąpi.*)

OBJAŚNIENIE.

Za niebem tęsknię, to nie znaczy wcale,
Że nic mnie tutaj nie wiąże do ziemi:
Że ze skrzydłami w lot rozwiniętemi,
W jakimś nadziemskim tonę ideale;
Że się na dolę moją ziemską żalę,
Do gwiazd wzdychając, lub goniąc za niemi:
Że gdy mnie rzewne dumania pochłoną,
Czuję się smutną lub wydziedziczoną.

Za niebem tęsknię, alež i to życie,
Pielgrzymka nieraz mozolna i długa,
Kwiatem wśród cierni krzewi się obficie,
Gwiazdą z za chmury raz po raz zamruga;
Lub świecąc w dali tęczą na błękicie,
Spływa do duszy niby pociech struga,
A cóż dziwnego, że zaklęcia władzą,
Gwiazdy i tęczę schwycić się nie dadzą?

Za niebem tęsknię, bo serca rozmiary,
Do spraw doczesnych nagiąć się nie mogą,
Bo ono dążąc wyznaczoną drogą,
Nie zaspokoi pragnień z ziemskiej czary,
Walką zgnębione a przejęte trwogą,
Męztwo i siłę czerpie w źródłach wiary,
A w przyszłem życiu, przez przeczuć zasłony,
Dostrzega szczęścia swój skarb wymarzony!!

Emilia.

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA DO PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. P.

(Dalszy ciąg.)

Niezadługo, bo 26 Sierpnia, żeglarze przybyli do przylądka Hawks, panującego nad zatoką Doublin, uważając siebie prawie za ocalonych, gdyż znajdowali się nie więcej jak o sto kilometrów od wyspy Littleton, gdzie stosownie do ułożonych warunków umowy, powinny były na nich oczekiwać napełnione żywnością przewozowe statki. Poczucie bezpieczeństwa wywarło szkodliwy wpływ na ich moralne usposobienie, zapragnęli większej rozmaitości w przyjmowanym posiłku i objawiali jednomyślnie chęć odwiedzenia znajdującej się w tej okolicy wyspy Waszyngtona Irwinga, na której kapitan Nares w roku 1875 złożył zapas żywności, w części tylko przez niego spożytej w następnym roku. Wedle odczytanych sprawozdań miały tam znajdować się suchary, a co ważniejsza *pickles*, ulubiona potrawa mieszkańców Zjednoczonych Stanów. Pickles są to poprostu korniszony zamarynowane w occie z cebulą i ze znacznym przydatkiem tureckiego pieprzu. Przysmak ten nadaje się do każdego mięsiwa, tak jak nasze ogórki kwaszone, a choć pali język prawie do odarcia go ze skóry u osób nieprzyzwyczajonych, zabezpiecza, wedle ogólnego mniemania, od szkorbutu, tej śmiertelnej choroby pod biegunem.

Już od wielu miesięcy żaden z uczestników naukowej kolonii nie kosztował korniszonów, pokusa zatem była zbyt wielka, aby się jej zdołali oprzeć Amerykanie, odznaczający się niekiedy wielką lekkomyślnością pod względem narażania życia swego bez najmniejszej potrzeby. Uczestnicy wycieczki po korniszony, zostawili na wyspie Waszyngtona, szczegółowy opis wszystkich wypadków doznanych od nieszczęsnego wyjazdu z warowni Conger. Zboczenie to spowodowało, rzecz prosta, nową zwłokę i zaledwo o czwartej godzinie po południu, Lady Greely wraz z towarzyszącym jej orszakiem łodzi, ruszyła w dalszą drogę. Przez sześć godzin morze było wolne i nic nie przeszkadzało żegludze; wielkie bryły lodu z łatwością były omijane lub usuwane na stronę przy pomocy żelaznych drągów, dopiero o dziesiątej wieczorem powstał silny wicher, popychający statki ku środkowi cieśniny, gdzie z powodu ciemności mogły z łatwością uledz rozbiciu. Nie było innego środka jak przerwać podróż, zboczyć ku najbliższym brzegom i tam oczekiwać na pierwsze promienie słoneczne, które ze względu na krótkość nocy w tej porze roku pod biegunem, niezadługo miały oświetlić powierzchnię ziemi. Podróżni korzystając z krótkiego wypoczynku, wyczerpani z sił pracą i czuwaniem, układli się na spoczynek, odkładając wszystkie ważniejsze sprawy do następnego dnia.

Na nieszczęście nie wiedzieli, że niebezpieczeństwo nie było zdala, ale tuż obok nich; przywiązali bowiem statki tuż obok wielkiego lodowiska, z którego spływała woda przez cały dzień do przystani bez najmniejszej przerwy. Zaraz po zachodzie słońca mróz skrystalizował ją napowrót, tworząc prawdziwą skałę lodową, przykuwającą podróżnych do siebie.

Wszelkie usiłowania zmierzające do zniweczenia krępujących więzów nie przynosiły żadnego pożytku; nie próbowano nawet zadawać ciosów drągami żelaznemi przy pomocy pary, bo takowe mogły rozbić nie lody ale szalupy.

Środek ratunku polegał jedynie albo na jakiemś nadzwyczajnem wstrząśnieniu natury, zdolnem poruszyć lody i przenieść je w inne miejsce, albo na zewnętrznej pomocy, którą mógł jedynie udzielić statek przepływający cieśninę. Pierwszy wypadek budził w sercu małą otuchę, bo nie łatwo przewidzieć w tych stronach meteorologiczne zjawiska, zewnętrzną jednak pomoc uważano za niewątpliwą i oczekiwano na nią z ufnością, bez żadnej obawy zawodu. Dla zwrócenia uwagi przepływa-

jących, major kazał zbudować małą wieżę z kamieni, a na niej pomieścić długi maszt na trzydzieści stóp, na którym wywieszono amerykańską flagę, przy głośnych okrzykach i karabinowych wystrzałach. Duchowa strona człowieka objawia częstokroć dziwne zjawiska: w warowni Conger wśród dobrego bytu i zupełnego bezpieczeństwa, uczestnicy naukowej wycieczki stracili nadzieję otrzymania jakiejkolwiek wiadomości z Ameryki, obecnie wśród tyle groźnego niebezpieczeństwa, nie wątpili o takowej ani na chwilę.

Bez obawy też patrzyli w przyszłość, dziwiąc się tylko dlaczego umieszczony na czatach człowiek, nie zwiastował dotychczas przybywającego statku. Nieubłagana rzeczywistość rozwiała to złudzenie, zamiast zbawczego okrętu, bez żadnej widocznej przyczyny, poruszyły się lody w zatoce i popłynęły ku środkowi cieśniny. Zmiana ta jednak nie wywarła korzystnego wpływu na położenie żeglarzy, szalupa bowiem i łodzie, uwięzione wśród lodów popłynęły wraz z niemi, utraciwszy wszelką swobodę ruchów.

Początkowo wypadek ten nie strwożył ich wielce, lodowa góra przybrała południowo-zachodni kierunek, zmierzając ku przylądkowi Sabiny, znajdującemu się prawie na przeciwko wyspy Mittleton, położonej na drugiej stronie cieśniny. W miarę jednak zwiększającego się wiatru, nacisk lodów na statki był coraz silniejszy, lada chwila mogło nastąpić zgruchotanie ich na drobne części. Drobniejsze statki zdołano wciągnąć na powierzchnię lodów, ale szalupa i łódź zwana *Valeureux* były zanadto ciężkie, aby i z niemi można było podobnie postąpić.

Nietracono jednak nadziei, lodowisko płynęło ciągle w jednym i tym samym kierunku, podróżni znajdowali się nie dalej jak na sześć mil od przylądka Alberta, na jedenaście od przylądka Sabiny, jeszcze dzień jeden, a znajdą wedle swego przekonania, bezpieczne schronienie.

Niestety, nastąpiła nagła zmiana w kierunku wiatru, który zwrócił się nagle ku Południowi, a lodowa góra zaczęła płynąć ku Północy, oddalając się od miejscowości, w której miano nadzieję znalezienia ratunku. W chwili tyle stanowczej major Greely postanowił opuścić zdradzieckie lodowisko, pozostawić tam szalupę i łódź *Valeureux*, ratować jedynie dwa pomniejsze statki i przy ich pomocy odbyć podróż do ziemi obiecanej, nazywanej w tym razie wyspą Mittleton.

Nie wątpiąc ani na chwilę o pomyślnym skutku swych usiłowań, nie wahano się opuścić zapasów żywności i innych nieodzownych przedmiotów, w czasie podróży w tych okolicach. Był to zaiste czyn pełen rozpaczy, lepiej byłoby dla nieszczęsnych rozbitków, gdyby unosząca ich góra lodowa pęknąwszy nagle, dozwoliła falom oceanu pochłonąć ich wszystkich bez wyjątku.

Chcąc zabrać jednak jakiekolwiek zapasy żywności, zbudowali sanie na które złożono część nieodzownych przedmiotów, pozostawiając resztę na pastwę oceanu.

Nie bez trudności jednak porzucili żeglarze płynącą górę lodową; trzeba bowiem było upatrywać chwili, w której stałe lody znajdowały się w pobliżu. Nareszcie czynność tę uskuteczniono pomyślnie i choć ze ściśnionem sercem rozpoczęto podróż w kierunku przylądka Sabiny. Pomimo woli jednak, spojrzenia biedaków zwracały się ku szalupie i łodzi Valeureux, porzuconych lekkomyślnie, co jak okazały późniéj wypadki, równało się dobrowolnemu samobójstwu. Żeglarze zdawali się przeczuwać czekający ich los, obfite łzy zraszały ich oblicza, postępowali ociężałym krokiem bez pośpiechu, jakby nie chcieli zwiększać przestrzeni oddzielającej ich od utraconych przedmiotów. W chwili zaś w której lodowa góra poczęła znikać na krańcach widnokręgu, niejeden z nich pomimo woli wydał krzyk rozpaczy, jako dowód utracenia wszelkiej nadziei ratunku.

Nieruchome składy lodów, na których znaleźli się niespodzianie podróżni, były bardzo niebezpieczne z powodu częstych rozpadlin, przykrytych zdradziecko spadłym śniegiem. Nie mając dostatecznej spójności do utrzymania ciężaru człowieka, a tem mniej prowadzonych sani, zmuszały do próbowania żelaznemi prętami siły jego oporu i posuwania się z wielką ostrożnością. Co chwila także napotykali kańczaste bryły lodu, nagromadzone jedne na drugich i niedozwalające odbywać podróży w prostej linii, zawady te obchodzili wkoło lub przesuwali się po ich powierzchni, za pośrednictwem wężykowatych przesmyków, ułatwiających przejścia. Zdarzały się także niekiedy wypadki, że lodowe bryły skutkiem ciężaru idących zmieniały położenie, gniotąc nieszczęsnych rozbitków.

Mimo też wszelkiego możliwego pośpiechu zaledwo milę przebywano dziennie, co rozważywszy podróżni przyszli do tego przekonania, że wielkie sanie zbudowane z wyrwanych desek z łodzi, opóźniają ich pochód. Rzeczywiście, były one ciężkie, niezgrabne i w części uszkodzone skutkiem uderzań o lodowe bryły. Najtrudniejsza sprawa była wtenczas, kiedy woda morska rozdzielała jednę bankizę (*) od drugiej, gdyż w takim razie łódź Narwal przewoziła sanie na drugą stronę, ale ładowanie i wyładowywanie takiego ciężaru, zabierało wiele czasu.

Z tej to przyczyny podróżni opuszczając jeden skład lodów, aby przepłynąć do drugiego, zostawili sanie ze znacznym zapasem żywności i łódź Narwal z powodu ciężaru nader trudną do przesuwania.

Znajdując się bowiem nader blizko od przylądka Sabiny i wyspy Mittleton, nie wątpili ani na chwilę o czekającym ich tam ratunku.

Zaledwie jednak przebyli szczęśliwie dwie bankizy, kiedy trzecia, na której szukali drogi do przedarcia się na drugą stronę, postradała nagle dotychczasową nieruchomość i zaczęła szybko oddalać się od brzegów, ale w kierunku wprost przeciwnym od przylądka Sabiny. Teraz dopiero opuścili na chwilę ręce nie dostrzegając żadnego środka ratunku: dotychczas nadzieja znalezienia pomocy podtrzymywała ich odwagę, odtąd gdy miejscowość do której przybyć tak pragnęli oddalała się coraz bardziej, rozpacz zawładnęła sercami wszystkich.

Przez jakiś czas podróżni zostali w stanie prawdziwego osłupienia, któremu nie ulegli tylko ludzie wyjątkowi, mianowicie: major Greely, porucznik Lockwood i doktor Pawy. Jak mogli i umieli dodawali odwagi towarzyszom nieszczęścia, aby ich uchronić od następstw największej rozpaczy. Rozdana żywność i wódka, skrzepiły biedaków moralnie, ludzie w najsmutniejszym nawet zbiegu okoliczności, niezawsze tracą nadzieję.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(*) *Banquize* zowią zgromadzone i spojone szczelnie tafle lodowe.

PRZEGLĄD LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

(Dalszy ciąg.)

Autor z wielkim dowcipem maluje złudzenia właściwe monarchicznemu stronnictwu we Francyi; pierwszy lepszy frazes wystarczał dla gorliwych stronników Henryka V.

Bezpośredni zwierzchnik Peyrorala, minister bezpieczeństwa publicznego, nazwiskiem Grivoil, wylewa łzy radosnego rozrzewnienia, wyczytawszy w jednym z porannych dzienników następujące zdanie:

„Niech Francya nie przywiązuje żadnej wagi do barwy chorągwi: biała czy trzechkolorowa to wychodzi na jedno. Oczy naszego monarchy w chwili wjazdu do Paryża napełnione będą łzami, wśród których nie zwróci uwagi na rodzaj wywieszonego sztandaru."

— Ah! mój kochany Peyroral, mówi minister Grivoil z zapałem, zdanie to jest prawdziwie genialne, określa wiernie położenie. Nietylko król, ale Paryż i Francya płakać będą, witając monarchę wracającego z długiego wygnania.

Zacny Grivoil jest bardzo zdolnym archeologiem; nauka ta zajmuje go głównie, podziela więc w zupełności wyobrażenia legitymistów, dla których bieg dziejowych wypadków przerwany został wraz ze śmiercią Ludwika XVI. Przedstawiają oni ciekawe zjawisko umysłowej krystalizacyi, niedopuszczającej najmniejszej zmiany w politycznych wyobrażeniach. Ludzie podobni, nie mogą odznaczać się w życiu wielką zręcznością, to też Grivoil, przy najlepszej chęci służenia swemu stronnictwu, nie umie stawić czoła różnym trudnościom przywiązanym do swego urzędu.

Prawdziwą deską ocalenia jest dla niego Peyroral, umiejący ratować go w razie niebezpieczeństwa, dając wskazówki jak się powinien znaleźć, lub co powiedzieć, na wypadek zrobionego zapytania, przez którego z deputowanych. W razie nieobecności jeneralnego sekretarza, pozostawiony sam sobie, minister traci głowę; częstokroć znajdowanie się jego na trybunie, wprowadzało w rozpacz monarchistów, wywołując jednocześnie na lewicy wesołość i ironiczne oklaski. Po jednym właśnie z wypadków tego rodzaju, Grivoil niemogąc znieść ogólnego szyderstwa, odebrał sobie życie, zostawiając ministeryalne miejsce niezajęte. Wszyscy są pewni wyniesienia Peyrorala na to stanowisko i niewątpliwie pozyskałby takowe, ale jeden z republikańskich dziennikarzy, pierwotny jego protektor, oburzony jego postępkiem z Blaisettą, wypowiada mu walkę i skutkiem tego ogłasza następujący artykuł:

„Prawdziwie dramatyczne wypadki stoją obecnie na porządku dziennym, ministrowie po doznanym szwanku na trybunie odbierają sobie życie, a słynni doktorzy jak Guejpard po wzbronieniu im publicznego wykładu, umierają ze zmartwienia. Podobny wypadek grozi znanej ogólnie a wielce wpływowej damie, należącej do arystokratycznego świata. Jeden z naszych wysokich urzędników, przypuszczalny nawet w prędkim czasie minister, zdobył posiadane dostojeństwa, popchnąwszy dawną swą przyjaciółkę do samobójstwa a sam rozwinął starania o podbicie serca pewnej hrabiny, głównej przyczyny jego wyniesienia. Mimo tego, biedną hrabinę oczekuje straszliwy cios, niewdzięcz-

nik bowiem chce zawrzéć z inną małżeński związek, gdyż dawny stosunek nie przedstawia dla niego żadnych już korzyści.

Poniżej zaś, wydrukowaną była następująca wiadomość:

„Mówią wiele w wyższym świecie urzędowym o zamierzonem małżeństwie pana Peyrorala, sekretarza jeneralnego, z córką jednego z wielkich finansistów, której ojciec należał do składu deputacyi, wybranej w celu połączenia dwóch linii królewskich przez pogodzenie Orleanistów, na których czele stoi hr. Paryża, z Legitymistami, wyobrażanemi przez hrabiego Chambord."

Dla zrozumienia powyższego artykułu, wypada nadmienić, że Blaisetta przekonawszy się o zdradzie Peyrorala chciała odebrać sobie życie, uratowaną jednak została przez doktora Gueipard, który jako skończony materyalista, dostrzegł jakieś niepojęte dla siebie zjawiska w funkcyach mózgu przychodzącej do zdrowia młodej kobiety. Chcąc więc zbadać bliżej ten przedmiot i nakłonić Blaisettę do zostania dłużej w jego klinice, poślubił ją i niedługo umarł zostawiwszy wdowie kilkomilionowy majątek.

Po tej wzmiance nawiasowej wracamy do przerwanej nici opowiadania.

Numer dziennika obejmujący przytoczony powyżej artykuł, autor posłał hrabinie, następuje zatem między dwoma dawnemi kochankami rozmowa, podczas której Peyroral przypomina niebacznie pani de Villesegure o jej wieku i z powodu tej jednej okoliczności, robi sobie z niej śmiertelną nieprzyjaciółkę, gotową użyć wszelkich sprężyn, aby pomścić doznaną zniewagę. Niedoszły minister spostrzega popełniony błąd, pragnie pogodzić się, ale już zapóźno, hrabina jest nieubłagana, a nawet wyciąga rękę do dzwonka, aby służba pokazała drogę niemiłemu gościowi.

Przeczucia Peyrorala spełniły się w zupełności: tak jak prędko zajął wyższe stanowiska, tak jeszcze prędzej je utracił. Pełniąc bowiem obowiązki sekretarza stowarzyszenia Solidarite popełnił jakąś nieformalność, która w innym razie nie zwróciłaby żadnej uwagi jego zwierzchników, obecnie jednak wyzyskano takową zręcznie przeciwko niemu odkąd dawna protektorka została jego nieprzyjaciołką. Zniewolono go więc pod groźbą kryminalnego procesu, do opuszczenia zajmowanej posady sekretarza stanu i do wystąpienia ze stowarzyszenia, wreszcie do złożenia mandatu deputowanego.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Z WYSTAWY OBRAZÓW
TOWARZYSTWA ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH
w Warszawie.

(Dokończenie.)

Śród prac rodzajowych na Wystawie obecnej, uderzają wiernością kolorytu i prawdą życiową: Kostrzewskiego Franciszka *Nie mów hop, aż przeskoczysz* i *Walka o byt* Eismonda. W pierwszej, dziewczę wiejskie drażni się z gajowym, chcącym daremnie przebyć t. z. przełaz na łące pod lasem; w drugiej, mały dzieciak w chałupie, rozpacza, że mu kot wypija mleko. Matka spoglądająca na to z ławy u pieca, z ręką opartą na stole, chleb na tym ostatnim, nóż i szklanka z mlekiem, są wykonane tak artystycznie, że chętkaby wzięła głodnego dobrać się do nich.

Kostrzewskiego *Orzechobranie* mniej mu się już udało. Wikary na pierwszym planie, jest... parodyą i dlaczego w ciemnoszafirowej rewerendzie? Za to *Wyprawa na Saską Kępę*, jakby na miejscu szkicowana: szkoda tylko, że stroje trochę za przesadne, za jaskrawe.

Teraz przejdźmy do *Rekonesansu* Wolskiego, radząc mu, aby studyował konie nie w magazynie zabawek dziecinnych, ale w naturze.

Ładnym jest obraz Sypniewskiego, przedstawiający Zygmunta III-go po bitwie pod Guzowem. Pełen prawdy, postacie wybitne, nie ma natłoku, ni chaosu, za to dużo światła, powietrza i miejsca dokoła. Umierający husarz wybornie w nim oddany. Już-to, w malowaniu bitew, trzeba unikać zamieszania, najpyszniej odtworzone pojedyńcze postacie zmaleją, zniknią zupełnie, gdy się ich sto razem zmiesza do góry nogami. Sypniewski dorasta już Brandta niemal.

Nareszcie stajemy przed dużem płótnem, w głównej salce, przed św. Sebastyanem, Niesiołowskiego Rajmunda. Radzibyśmy szczerze chwalić, lecz trudno, niemożemy. Jedyna postać dobrze odtworzona, to Dyoklecyan, na którego twarzy maluje się złość i zdumienie na widok świętego. Ten święty jednak, to woskowa figurka, ustawiona między dwoma fartuchami z niebieskiego płótna w białe kwiatki. Na twarzy Sebastyana, nic, coby znamionowało jego posłannictwo, żadnego życia, oczy bez blasku, postać jakby ręką obcą na kółkach wysunięta, z za zasłony jarmarcznej budy. Daremnie się sili. Dyoklecyan też daremnie się lęka malutkiego człowieczka nad sobą. Wolimy już Rutkowskiego *Pożegnanie Hektora z Andromachą*, choć byliśmy pewni, że to Hektora z Heleną, lub p. Myszugi z Dowiakowską.

Wada to wszystkich początkujących artystów, iż porywają się na rzeczy za trudne, wymagające obszerniejszych studyów, bardziej rozwiniętego talentu. Czyż nie lepiej jak to uczynił Lentz, namalować wdzięcznie śpiewaka ulicznego (serenada), niż pochód króla Honolulu, Godfryda de Bouillon u bram Jurozolimy, lub rzeź św. Bartłomieja?

Pani Zofia Stankiewiczowa ładnie odtworzyła *Dla chleba*, tylko że tytuł niewłaściwy: pod obrazkiem, przedstawiającym dziewczękę odzianą w szubkę, ciepłą chustkę i z rączkami w ładnym zarękawku, obok której dziewięć tylko jabłek w koszyku, godziłoby się podpisać *Dla pieczeni.*

Zaglądamy do sali na lewo, lecz o zgrozo, widzimy tam jeszcze Madeja... nawet rozpaczliwie smutny a tak sympatyczny obrazek *Poczta pieniężna* i pyszny bronz *Gladyator*, Welońskiego, nie rozchmurzają nam czoła. Jednakże w głębi uśmiecha się do nas buzia Włoszki, pani Bardzkiej z Rzymu i kilka portretów, o których wierności sądzić nie możemy, gdyż niewiemy... czyje. Efektownie się one przedstawiają mimo to, że zakrawają na popisy osobistości. Niemożemy tego jednak powiedzieć o portrecie kobiety, Maleszewskiego Tytusa, który, widocznie że z budującą wiernością malowany, bo dama ma twarz idealnie krzywą, stanik wykrojony i ubrany różą...

Stajemy też przed obrazkiem p. Żmurki: *Zawstydzona*, której radzibyśmy dać napis: *Zawstydzająca...* ale widzów. Jest to dziewczyna w przejrzystym negliżu i za kolana sięgających kamaszach, pożyczonych od pradziadka, który służył zapewne w Lejbgwardyi słynnego Frytza pruskiego. Żmurce prasa nasza zarzuciła, że swoją *Zawstydzoną* malował po fotografii... nie wierzymy w to wcale; upewniamy go jednak, że w każdem mieście zagranicą i w każdym sklepie z fotografiami, są setki tej znanej od ćwierć wieku reprodukcyi Royan'a. Zawstydzona, robi taki niesmaczny ruch prawą ręką, żeby ją, żywą, z pewnością o obrazę obyczajów, do sądowej odpowiedzialności pociągnięto. Bywają rzeczy wolne lecz... estetyczne, ten obrazek budzi niesmak tylko. Takie same wrażenie wywarły na nas Wenus i Tanhauzer, Roztworowskiego. Malarz musiał zapewne widziéć słynną Kleopatrę pani O'Connel w Paryżu, powinien jednak był pamiętać, że mimo wspaniałości kolorytu i mistrzowskiej malatury postaci, ówczesny dyrektor wydziału sztuk pięknych p. Nieuwerkerke i cały areopag sędziów, odrzucił obraz pani O'connel. Pytamy tedy, dlaczego nasza wystawa, Wenus tę przyjęła? Karykaturalnie malowana bogini, wstręt budzi nie zachwycenie. Ah! gdyby nie podpis, bylibyśmy przysięgli, że to nasz poczciwy przewoźnik wyciąga z Wisły jaką zrozpaczoną kapłankę i ta przyszedłszy do zmysłów, dziękuje mu... jak umie i może. Równie nieszczęśliwy pomysł miał p. Wisłocki, dając nam obraz obnażonych pleców kobiety i podpisując pod tem: *Studyum z natury*. Z natury?... no proszę!

O drobnych akwarelach i posążkach z gliny palonej i kilku obrazach w korytarzyku, nic wspomnieć nie możemy, gdyż wszystko tak w wązkiem przejściu natłoczone, że się w niem obrócić niepodobna.

Przynętą wystawy jest Barrias, ale kto tylko przyjdzie, ten staje zdumiony, rusza ramionami i odchodzi... rozczarowany.

Z. G.

KORESPONDENCYA Z WŁOCŁAWKA.

Miasto Włocławek o którego założeniu i przejściach dziejowych tylokrotnie pisaliśmy, godne jest by mu jeszcze poświęcić słów kilka, a rozejrzawszy się bacznie, wykazać przyszłość olbrzymią, budującą się na szerokich warunkach handlu i przemysłu. Nie będzie grzechem nadmienić na czem zbywa staremu naszemu grodowi.

Wisła z Zgłowiączką dwie siostry bliźniacze, z dawien dawna rzuciły hasło, budząc miasto i okolicę kujawską do rozległego handlu, przez ułatwienie przewozu towarów i produktów w ziarnie, skórach i budulcu tratwami i berlinkami. Komunikacya wodna rywalizuje z lądową, bo stare Władysławowskie miasto, prócz rzeki spławnej posiada kolej żelazną i szosę, na brak więc warunków sprzyjających handlowi skarżyć się nie może.

Miasto nasze nie ma pamiątek archeologicznych. Nie ma u nas nic coby przypominało nadbrzeżne okolice Jordanu, palmy i groty Palestyny są nam obce a jednakże w nadwiślańskiej sadybie, więcej jak gdzie rozsiadło się plemię semitów i Germanów a założywszy sobie gniazdo w gościnnej krainie, gospodaruje wszędzie jakby u siebie.

Jako prezerwatywę przeciw szponom chwytającym nam wszystko z przed nosa, witamy Dom zleceń p. Kawczyńskiego słowami: Boże dopomagaj! także Sklep połączonej pracy kobiet p. Elżbiety z Karskich Starzyńskiej.

Przyznają mi rodaczki moje, które nie przesypiają życia na kwiatach, lecz pracą rąk byt zdobywają, że pomysł ten gorącą dłonią siostrzanej pomocy podniesiony, godzien jest uznania i podzięki. P. Starzyńska pragnie usilnie sklep swój, założony w domu p. Kochanowicza przy ulicy Ś-to Jańskiej, zapełnić wyrobami kobiecemi wszelkiego rodzaju, które wyzyskiwane w kramach żydowskich, nie zawsze wracały biednej pracownicy grosz na materyał wydany. Tu coś podobnego miejsca mieć nie będzie, zapewniamy was, wydziedziczone córy losu, które w suterynach i na poddaszach walczycie o kęs chleba suchego. Pracujcie z wiarą w lepsze! ręka kobiety zacnej w ten sposób wyciąga się do was z pomocą. Połączonemi siłami ratujmy się, wspierajmy, pracujmy nie dając się wyzyskiwać, a wtedy przyznamy może, że i praca kobiet bywa produkcyjną!

Sklep połączonej pracy, posiada fabrykę pończoch, a wykonywanemi dokładnie obstalunkami, pragnie rozpowszechnić rękodzielnictwo kobiece. Tamże jest bielizna gotowa, szyta w domu; damska, męzka i dziecinna, zaczynając od cen bardzo przystępnych i materyały wszelkiego rodzaju potrzebne do robót kobiecych, zwane powszechnie norymberszczyzną. Protekcyi i uznaniu polecamy zakład połączonej pracy, pomni, że w imię polepszenia bytu, chcących pracować, wspierać go powinniśmy.

Niech raz przecie sprawdzi się przysłowie: ręka rękę myje... a runie to, które głosi: że nie jest się prorokiem na własnej ziemi. Na zadatek, rzucamy założycielce sklepu: połączonej pracy kobiet, serdeczne nasze: szczęść Boże!

W zakończeuiu, niech nam wolno będzie szepnąć, czego niedostaje geszefciarskiemu miastu naszemu.

Najprzód tedy, brak nam zegara miejskiego, owego despoty kierującego zajęciem dnia. Letnią zaś i wiosenną porą uczuć się daje brak ogrodu spacerowego lub skweru, z myślą których nosi się administracya miasta od lat wielu. Radzono i pisano o świetle elektrycznem, a tymczasem oszczędność nafty w latarniach ulicznych, doprowadza do łamania nóg i tłuczenia nosów.

Wodociągów może doczekają prawnuki nasze, lecz naprawy bruków i chodników asfaltowych dopominają się na gwałt współcześni.

Ponieważ utyskiwania tego rodzaju, okazały się dotąd głosem wołającego na puszczy, poprzestajemy i my na tem słabem użaleniu.

Zimno wypłoszyło artystów poznańskich z letniej sceny a o teatrze zimowym i mowy nie ma. Szkoda!

Paulina Biernacka.

Z pod naszej strzechy.

Treść: Koncerta symfoniczne. — Jak je przyjmuje Warszawa. — Występy Teresiny Tua i Maryi Benois. — Poranek artystyczny na korzyść Jana Królikowskiego. — Niesforność paradyzu. — Publiczne zgromadzenia. — Znajdowanie się na nich tłumów. — Zaduszki na Powązkach. — Opieka publiczności. — Wychowanie dzieci dobre. — Własność publiczna. — Horda tatarska. — Solidarność społeczna. — Wpływ jej zbawienny. — Wybryk żebraków. — Awanturka. — Druga niespodzianka. — Zamach przeciw turniurze. — Skromne ubrania. — Królowa Natalia. — Czytelnia dla kobiet.

Pora koncertowa już się rozpoczęła na dobre i nie ma prawie tygodnia, aby w nim choć dwóch nie ogłoszono. Symfoniczne przez dyrekcyą teatralną urządzane, tak wyborem dzieł jak i wykonaniem, zyskały uznanie już nietylko istotnych znawców, ale i prawdziwych miłośników muzyki. Szczupła jednak liczba słuchaczy gromadzących się na te prawdziwe uroczystości muzyczne, rumienić powinna Warszawiaków, słynących z wielkiego niby zamiłowania muzyki. Wprawdzie krzesła i górne piętra dopisują, napełniając się ciekawymi słuchaczami, ale loże w większej części świecą pustkami.

Widocznie publiczność w nich bywającą nie muzyka głównie pociąga, ale... moda i ciekawość, chęć przyjrzenia się sobie i występującej artystce lub artyście, pragnienie pokazania się w doborowem niby towarzystwie. Symfoniczne też arcydzieła ze współudziałem naszego prawdziwie koncertowego skrzypka, Barcewicza, nie wywołują należnego im zapału, ale zapowiedź występu panny Teresiny Tua wiolistki i pani Maryi Benois pianistki, gwiazdek nie gwiazd artystycznych, spadłych z wichrem zachodnim w nasze domowe progi, wstrząsa murami całej Warszawy, porusza wszystkich i pędzi tłumy na łeb i szyję do kas teatralnych, po bilety rozrywane zwykle w ciągu dnia jednego.

Jeden jednak z podobnych koncertów, tydzień temu odbyty na korzyść złożonego ciężką niemocą Jana Królikowskiego artysty tragika, chlubne wydał świadectwo o zacności serca Warszawiaków.

Któż go nie zna i grą jego nie zachwyca się? Obdarzony talentem pierwszorzędnym, jest ulubieńcem publiczności a chlubą naszej sceny.

Podobni jemu zbierają krocie i nawet miliony, gdy im los pozwolił urodzić się Włochem, Francuzem lub Anglikiem. Zacny Królikowski na nieszczęście swoje urodził się naszym ziomkiem; skromnie wynagradzany, skromnie utrzymujący liczną swą rodzinę, nieposiadający żadnych zasobów, bo ich zbierać nie było z czego, gdy przyszła obłożna choroba, wymagająca wielkich starań i niemałego wydatku, okazał się brak odpowiednich funduszów nawet do zaspakajania codziennych, niezbędnych potrzeb. Urządzono więc koncert, ułożono go naprędce, zaproszono do współudziału, dawną pannę Popiel, dziś panią Romanę Święcką, tak ukochaną niegdyś przez Warszawiaków i już na drugi dzień po ogłoszeniu, bilety wszystkie rozprzedano. Wprawdzie występ wyszłej ze sceny artystki a tak wielce przez publiczność lubionej, stał się silnym bodźcem gorączkowego tego zapału, ale i cel był wielce pociągającym i jesteśmy pewni, że koncert ten sam powtórzony, pociągnąłby równie liczne tłumy jak pierwszy.

Pięknie więc Warszawa pokazała się w uczuciu swego szlachetnego serca, ale w wyżynach paradysowych wstyd wszystkim przynosi, napełniając je w znacznej części tak niesforną gawiedzią, że słuchając krzyków i wrzasków ztamtąd wydobywających się, owych stukanin, bisowań i przesadzonych oklasków, mimowoli zapytuje się każdy, czy to zbiorowisko pijanej rzeszy, czy waryatów wyrwanych od Bonifratrów?

Z zasady, chwalić niemożna zbytniego wtrącania się, w czynności zupełnie prywatnej natury, ale podobnych burzycieli przyzwoitości, chętniebym zakneblował i ręce z nogami w pęta przystroił.

W ostatnich dniach przedstawień cyrkowych, tłoczenie się widzów na galeryi, pomimo dość wolnego miejsca było tak wielkie, że o mało młodego chłopczynę nie uduszono i tylko wyratowała go przytomność strażaka. W Saskim ogrodzie w czasie fajerwerków na głos petardy zgiełk powstaje tak wielki, taki się robi ruch między tumultem tak większość bez myśli pędzi w stronę słyszanego huku, że pod stopami jej, tratują się trawy, klomby i kwiaty, trzeszczą krzewy i gałęzie, łamią baryerki i przewracają ławki, i tylko silni w nogach mogą się oprzeć licznym popychaniom i potrącaniom, ze wszystkich stron na nich spadającym.

W dniu tegorocznym Zaduszek, jak zwykle zbiegowisko było wielkie. W pośród błysku świec i lampek płonących, rozlegały się śmiechy i głośne rozmowy, krzyki, sprzeczki, gonitwy i hałasy z powagą miejsca zupełnie niezgodne. Na drugi dzień, zarząd cmentarny robiąc przegląd miasta umarłych, w które codziennie wsiąka tyle łez, tyle jęków zagłusza ciszę grobową, znalazł mnóstwo krzewów zdeptanych, drzewek połamanych, mogił porujnowanych i nie mogąc już nic na to poradzić, przez jakiegoś reportera w krótiutkim artykuliku odwołał się do opieki samej publiczności.

Myśl bardzo piękna: wszędzie zagranicą opieka podobna niezmiernie skutecznie jest działającą: tam dziesięcioletnie dzieci przestrzegają młodsze, aby do własności cudzej a więc i publicznej, nawet rączek nie wyciągały. Nie zginie też tam marnie nawet listek lub gałązka, a nie wypływa to z wyższej od nas oświaty, ale poprostu z dobrego wychowania, wdrażającego w dzieci i to od lat najmłodszych, zasady przyzwoitego zachowania się wszędzie, tak w domu jak i za oczami domowej opieki.

U nas pod tym względem, wychowanie dzieci bardzo jest zaniedbane. W teatrze paradyz zajmuje po większej części młodzież ucząca się i ona to sprawia owe nieznośne wrzaski i krzyki na przekor sykaniom wzywającym do porządku. W Saskim ogrodzie dziatek ślicznie ubranych, pięknie się kłaniających, szczebiocących po francuzku lub niemiecku, wesołych, zgrabniutkich, kręcących się jak motylki, jest mnóstwo, ale ani jednego pojmującego, iż własność publiczną szanować należy.

Osoby starsze, dozorczynie, polają je nieraz za pomięcie sukienki, roztarganie włosków, zbytnie zmęczenie się lub zakurzenie bucików, ale ani jednem słowem nie skarcą, gdy chodzą po drutach, baryerkach lub ławkach, gdy biegają po trawnikach, chiboczą drzewkami, a podskakują do gałązek by je urwać i rzucić na ziemię. Dzieci tak wychowane jak dzicz stepów środkowej Afryki, cóż dziwnego, że stawszy się młodzieżą, teatru ledwo nie roztrzęsie i całem swem zachowaniem, gdzie się znajdzie, przypomina hordę tatarską, znajdującą przyjemność w ogłuszającym krzyku i psuciu wszystkiego, co im w ręce wpadnie lub pod nogi podsunie.

Solidarność w przestrzeganiu przyzwoitości w publicznych zebraniach i w bronieniu publicznej własności od szkody, zagranicą prześliczne wydaje owoce. Z wypełnienia prostego zakazu, dziecko zaczyna się nad nim zastanawiać, poznaje

przez to swoje prawa i obowiązki, wdraża się w poczucie godności obywatelskiej i pomału zostaje jednostką pojmującą korzyści społecznego związku.

Gdyby u nas prawdy te wdrażano w dziatwę, gdyby zaraz po pacierzu, powiadano im czem są, czem zostać powinny i jak postępować należy, aby się to spełniło, zwrowe te pojęcia spływałyby niżej i coraz niżej i pomału wszystko przybierałoby inną postać, przyciszając skargi dziś zewsząd podnoszone.

Słuchając modlitw głośno przez dziadów na powązkowskim *Żalniku* (*) w dzień Zaduszny wygłaszanych, uważałem małą zmianę w modlitwie, dziwną ale dość uzasadnioną. Oto zamiast: Matko Boża! módl się *za nami* grzesznymi, żebracy mówią: *za niemi*, jakby modlitwy ofiarami wywołane w całości jedynie do dobrodziejów należały.

Słuchając tego dowodu skrupulatności żebraczej, mimowoli pomyślałem sobie, kto wie czy nie mają słuszności, mówiąc: Matko Boża módl się *za niemi* grzesznymi: czy nie my rzeczywiście jesteśmy głównie grzesznikami a oni tylko prostem następstwem naszej winy.

Mówiąc o koncertach, zapomniałem o małej awanturce pewnego sprawozdawcy muzycznego, z której można powziąć choć małe wyobrażenie jak się to u nas piszą krytyki.

Otóż ogłoszono koncert panny Tui i jej towarzyszki p. Benois. Naturalnie być na nim trzeba i napisać sprawozdanie tak, aby na drugi dzień o ósmej rano już było w drukarni. Rzecz to jednak jako wymagająca nocnej pracy, strasznie niewygodna, żeby jej zatem uniknąć, pan krytyk przed koncertem odpowiednie sprawozdanie przygotował i domyślając się, że trudna bardzo a zapowiedziana sonata Griega, przez koncertantkę mistrzowsko nie będzie wykonana, złajał ją i wyhałasił, radząc, aby się nie brała do tego co siły jej przechodzi. I byłoby to uszło, ale pan krytyk na koncert nie poszedł, na nim zaś w miejsce sonaty Griega odegrano sonatę Bethovena. Połajanie jednak panny Tui wydrukowano, p. krytyk zapewne ugryzł się w język... a artystka z pewnością załamała rączki nad niespodzianką, jaką ją obdarzyła niesumienność naszych krytyków.

Drugą także niespodzianką są ciosy ciągle spadające na turniurę z coraz większą gwałtownością. Dziś królująca wszechwładnie, czy jutro pod ich nawałą nie padnie zbita na kwaśne jabłko, czas to dopiero pokaże. Gazety bowiem zagraniczne pomieściły nową znowu wiadomość, iż na przyjęcia dworskie wydawane przez króla Humberta i piękną Margarytę, cały damski świat arystokratyczny przybywa zawsze w gładkich, długich i fałdzistych sukniach, pozbawionych stalek i wszelkich zbytecznych dodatków. Zamach ten stanu w królestwie mody, wymierzony przeciw turniurze, kto wie czy jej wziętości nie zachwieje a może i zdruzgocze.

W Mińsku gub., na koncercie na dochód Towarzystwa dobroczynności i mającej po nim nastąpić zabawie tanecznej, zobowiązano panie do ubioru bardzo skromnego, z ogólną wszystkich rozsądnych zachętą. Na dworze Belgradzkim, gdy król Milan dmie w surmy wojenne w granicach Bulgaryi, królowa Natalia porzuciła pióro i pędzel, zgromadziła wokoło siebie wszystkie damy dworu, poleciła sprowadzić z Pesztu dziesięć maszyn do szycia i stanęła na czele szwalni w celu zaopatrywania walecznych wojowników w bieliznę i ubranie.

W Warszawie przy ulicy Niecałej pod N-rem 1, obok wypożyczalni książek do czytania, pani Marya Olędzka urządziła czytelnię pism krajowych i zagranicznych, wyłącznie dla kobiet. Znajdują się w niej wszystkie pisma peryodyczne polskie i wybitniejsze francuzkie, rossyjskie, angielskie, niemieckie i włoskie. Opłata za wejście jednorazowe wynosi kop. 5, abonament miesięczny kop. 20, za książki zaś brane do domu razem z czytaniem gazet na miejscu, płaci się kop. 50. Jak na początek przedsięwzięcie to dość się pomyślnie rozwija, życzymy mu jak najlepszego powodzenia, ale z rumieńcem wstydu, iż kobiety pragnące korzystać z tych samych przywilei jakie każda cukiernia dla mężczyzn dostarcza, muszą się od nas odgradzać wyłącznością, zamykać szczelnie w jednem pokojowem okoleniu, aby uniknąć natrętnej mężczyzn niegrzeczności.

(*) *Żalnik* stary a tak śliczny nasz wyraz, zastąpić mógłby wzięty z łaciny *cmentarz*.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **W przeszłą niedzielę** na korzyść Jana Królikowskiego, ciężką obarczonego niemocą, odbyło się przedstawienie w Teatrze Wielkim, o którem zrobiliśmy już pobieżną wzmiankę. Piękną myśl przyniesienia pomocy wielkiemu temu artyście i zacnemu człowiekowi, który grą swą i deklamacyą blizko przez pół wieku czarował słuchaczy na wszystkich scenach polskich, podjęli towarzysze jego pracy, a dyrekcya chętnie dopomogła do jej urzeczywistnienia.

Teatr był pełny, ani jedno miejsce puste niepozostało, naddatki hojne, zapał widzów wielki.

Gdy się dawna ulubienica, pani Popiel Święcka na scenie pokazała, za co jej niesiemy serdeczną podziękę, publiczność przyjęła ją oklaskami i okrzykami niezwykłego uniesienia. Ponawiały się one i później i przy wywoływaniach, ale już więcej z żalu, że ją raz ostatni na scenie zapewne ujrzała.

Żółkowski w scenie z zieleniaczkiem z Hrabiny Moniuszki, jak zwykle był nieporównany. Winko dobre równie dobry humor wzniecać winno, gdy jednak wzniósł kielich w górę i improwizując wyrzekł, zwracając się do publiczności:

— Za wasze zdrowie i za zdrowie chorego naszego artysty!

W tonie jego głosu tyle było rzewności, tyle serdecznego uczucia, że każdy poznał, iż słowa te wyrzekł z głębi duszy, z żalu nad stanem swego kolegi i przyjaciela. Z nim bowiem prawie zawód swój artystyczny rozpoczął i z nim razem dotrwał do dnia dzisiejszego.

Oba są chlubą sceny naszej, a żaden z nich zastępcy po sobie nie zostawia.

*** **Chmiel.** Ekonomiści nasi zachęcając do szukania nowych dróg w gospodarstwie rolnem, kładą między innemi silny nacisk na hodowlę chmielu, tak zaniedbaną u nas. Rozwój piwowarstwa wymaga tego koniecznie; czyż zawsze będziemy niemcom napychali trzosy?

Że ten rodzaj przemysłu ma przed sobą przyszłość, świadczy wymownie plantacya chmielu, założona przed czterema laty pod Bobrujskiem w gubernii Mińskiej. Ogromny ten chmielnik zajmujący 32 morgi, kosztował wprawdzie znaczne sumy, właściciele sprowadzali sadzonki wyłącznie z Czech i Bawaryi, płacąc po kop. 15 za sztukę, jest-to też plantacya jedna z największych, nietylko u nas, lecz i zagranicą.

Obecnie chmielnik bobrujski przyniósł już znaczny dochód, chociaż cena produktu, zapewne w skutek ogólnej stagnacyi, jest niższą niż w poprzednich latach, otrzymano jednak w czwartym roku istnienia przeszło tysiąc pudów.

Nasze browary hołdując produkcyi niemieckiej trzymają się zdaleka, i dwa z nich tylko zakontraktowały niewielką dostawę chmielu, rossyjskie zaś, szczególniej w Petersburgu i Moskwie zażądały znacznie więcej.

Jako fakt nader charakterystyczny, wypada nam zanotować, że wielki dom komisowo-handlowy Schoffel w Norymberdze, chciał w przeszłym roku zakupić cały zbiór bobrujskiego chmielu, aby udaremnić mu konkurencyę z zagranicznym i ofiarował ceny możliwie najwyższe. Mając na względzie rozwój przemysłu krajowego, właściciele propozycyi nie przyjęli.

Już-to wogóle nasze usiłowania w tym kierunku Niemców w oczy kolą.

*** **Kolonizacya niemiecka** straszne u nas przybrała rozmiary. *Drang nach Osten* trwający od lat blizko czterdziestu, uczynił już tu znaczne postępy, że nie ma okolicy, któraby od obcych przybyszów zupełnie była wolną.

Nędzarze wlokący się pieszo z całym majątkiem na plecach lub w ekwipażu przez psa ciągnionym, doszli już przez ten czas do dobrobytu, niektórzy nawet obecnie posiadają miljony. Wszędzie zaś, gdzie zaludniwszy puste niegdyś obszary rolnictwem się trudnią, nie zbliżą się nigdy do naszych włościan, plemienna różnica pochodzenia uwydatnia się tutaj daleko więcej niż w miastach.

Zabużańska okolica szczególniej dotknięta jest tą plagą.

Dawniej jeszcze, smutny ten stan nie tak mocno bił w oczy, dopóki utrzymywały się nazwiska miejscowe przez dawnych właścicieli ustanawiane, obecnie zaś, gdy jak grzyby po deszczu, wyrosły różne Rosendorfy, Adolfbergi, Amalienhofy, krajowiec zabłąkany w te okolice przypuszczać jest gotów, że to jest deutsche Vaterland.

Zacząwszy od Brześcia przez Równo, Żytomierz, Korystyszew, aż pod Kijów, wszędzie rozsiedli się niemcy, obok każdej stacyi kolejowej na pewno spotkać ich można.

Wobec tak smutnego stanu rzeczy, gdy *swoim coraz ciaśniej*, każdy właściciel kawałka ziemi powinien uważać za swój moralny obowiązek niedopuszczać kolonistów do swego majątku, a tembardziej obcym go nie sprzedawać. A jednak ileż jeszcze teraz widzimy takich, którzy na ten *przesąd* nie zważają i byle tylko lepiej fortunę spieniężyć nie pytają kto jest nabywcą.

Taki tryb postępowania pociągnie za sobą opłakane następstwa, przyszła generacya za winy ojców pokutować będzie.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Doświadczenia Pasteura** w leczeniu wścieklizny znakomite wydają rezultaty i może niedługo przyjdzie czas, że ta straszna choroba dokładnie zbadaną i ujarzmioną będzie. Szczepienie zarazka w kilku już wypadkach okazało się skutecznem, liczba pacyentów znakomitego uczonego doszła do jedenastu,

a w tych czasach przywieziono mu znowu chłopca i dziewczynkę, pokąsanych przez psa wściekłego.

Rozpoczęta bezzwłocznie kuracya przyniosła dobre rezultaty, stan zdrowia obojga dzieci znacznie się poprawił i można się spodziewać, że wyleczą się zupełnie.

*** **Kraina złota.** W pośród dzikich niedostępnych gór, na pograniczu Chin i Syberyi, odkryto w Maju 1884 roku, złotodajną żyłę. Miejscowość zwana doliną Żołtugi, położona jest na wschodnim brzegu Syberyi i zamieszkana przez lud nawpół dziki, prawdziwych wyrzutków, zbiegłych przestępców, w liczbie dziewięciu tysięcy. Cyfra ta jednak powiększyła się znacznie, od tej pory, gdy kopalnia nabrała pewnego rozgłosu. Dziś przybywa do niej mnóstwo awanturników z całego świata, a najwięcej z Ameryki.

Podzieleni na 732 spółki, wybierają oni 12 starostów, którzy są obowiązani czuwać nad ogólnym porządkiem, za co otrzymują po 200 rubli miesięcznie i poddani są władzy prezydenta, którym obecnie jest Węgier.

Kawałki czystego złota znajdują się tam w niewielkiej obfitości, lecz pod warstwą gliny jest pokład żwiru złotodajnego na 1,50 do 2,50 metra grubości Z powodu znacznej obfitości wody, tylko w zimie można tam pracować, w tym celu zapalają olbrzymie pnie drzewa dla rozgrzania gruntu.

Jest-to sposób bardzo pierwotny, gdyż pozwala wydobywać złoto na bardzo małej przestrzeni, to też spółki składają się najwyżej z jedenastu robotników.

Sytuacya przedsiębierców znacznie się poprawi, gdy wykopią kanał do przeprowadzenia wody, co już jest w projekcie.

Bogactwo żwiru jest tak wielkie, że za 100 pudów otrzymuje się 7 funtów złota, chociaż znaczna część Chińczyków i Rossyan zadawalnia się płóczką, którą rękami obracać trzeba. Wszystkie okoliczne doliny posiadają również złoto.

Obecnie kopalnia rozciąga się na 30 wiorst w malowniczej dolinie gór „Jabłonnyj chrebiet", pokrytych lasami sosen i modrzewiów, których nie tknęła ręka ludzka.

Dużo czasu upłynie zanim miejscowe społeczeństwo ucywilizuje się i uszlachetni, a jednak morderstwa zdarzają się tak rzadko jak nigdzie w Europie; tymczasem jest ono zbiorem awanturników chciwych łatwego zysku, który też tam znajdują w obfitości niezmiernej.

*** **Żebractwo we Włoszech** nie cofa się przed najszkaradniejszemi środkami, byle tylko zbierać obfitą jałmużnę. W samych początkach bieżącego miesiąca, policya odkryła w Rzymie „stowarzyszenie", celem którego było kupowanie dzieci od lat pięciu do dziesięciu płci obojga i sprzedawanie ich żebrakom. „Towarzystwo" posiadało uorganizowaną ajenturę, kobiety zwłaszcza objeżdżały od czasu do czasu najdalsze zakątki prowincyi i tam kupowały dzieci od ubogich rodziców, dokładnie się z niemi porozumiewając co do użytku „towaru". Cena dziecka normowaną była w stosunku do kalectwa, jakiem naznaczała je natura.

Aresztowano zaraz kilku członków ohydnej korporacyi, a kilkoro dzieci niesprzedanych jeszcze odesłano niegodziwym rodzicom.

Miasto jest wzburzone tem odkryciem, spodziewać się należy, że dla przykładu innych, handlarze zostaną surowo ukarani.

*** **Kursa dla kobiet.** W muzeum techniczno-przemysłowem krakowskiem, rozpoczął się d. 7 Listopada ośmnasty rok wykładów dla kobiet. Prowadzeniem, jak niemniej założeniem samego Muzeum, d-r Baraniecki wielką dla społeczeństwa położył zasługę. Główny kierunek i opiekę nad wydziałem sztuk pięknych przyjął Jan Matejko, a na wydziale gospodarczym wykładać się będzie systematyczny kurs „Gospodarstwa domowego kobiecego", poprzedzony krótkim zarysem gospodarstwa wiejskiego w ogólności. Oprócz tego d-r Maksymilian Nowicki uczyć będzie gospodarstwa krajowego i rybnego.

Wydział przyrodniczy i historyczno literacki pozostaje bez zmiany, handlowy zaś i nauka języków zależyć będą od zapisu uczenic, czyli, że dopiero, gdy zbierze się odpowiedni komplet, wykład rozpoczętym zostanie.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Elżbiecie K. w Blendzinie. Komplety Przyjaciela dawniejsze nie ze wszystkich lat znajdują się w Redakcyi. Niektóre są zupełnie wyczerpane, możeby się dały jednak odszukać u antykwaryuszów.

NOWE WYDAWNICTWA.

Kalendarz Wieku illustrowany, nakładem współpracowników tego pisma, wyszedł z druku i zawiera: przeglądy spraw rolniczych, przemysłu fabrycznego, cukrownictwa, gospodarstwa społecznego, nauk i literatury, teatru, polityki i zmian prawodawczych, zaszłych w ciągu roku 1884/5. Następnie idą: życiorysy z portretami: ks. Kazimierza Wnorowskiego, biskupa lubelskiego; ks. Kacpra Borowskiego, biskupa płockiego; Adama Prażmowskiego; Wiktora Hugo; poezye i utwory powieściowe: Wik. Gomulickiego, Kl. Junoszy, Wł. Sabowskiego, I. Alrysy; ważniejsze wiadomości o rządach państw nowego i starego świata; hierarchia Kościoła Rzym. Katolickiego w Kr. Polskiem, różne instytucye; zakłady i towarzystwa w Warszawie; mapa dróg żelaznych; telegrafy; poczty; nowy podział Warszawy, przewodnik po niej i jej okolicach, wreszcie dział adresowy starannie barzo ułożony. Cena kop. 50.

Słowniczek wyrazów obcych, zawierający wyrazy i wyrażenia, a także zwroty i przysłowia cudzoziemskie, używane w mowie potocznej i w prasie peryodycznej polskiej. Jest-to rzecz bardzo sumiennie opracowana i zdaje się, że zupełnie wyczerpująco, a przy czytaniu niezbędna, jeżeli zważymy mnóstwo wyrazów i wyrażeń cudzoziemskich, tak szczodrze używanych przez wielu piszących i wciskanych wszędzie jakby dla popisu, jakby z rozmyślnej chętki psucia naszej bogatej mowy, mającej wyrazy na oznaczenie najdelikatniejszych nawet różnic w naszem uczuciu i pojmowaniu. Wydany nakładem M. Arcta w Lublinie.

Nakładem St. Niemiery, właściciela drukarni, wyszedł:

Miesiąc Maryi, czyli Nabożeństwo majowe z dodatkiem nabożeństwa codziennego dla młodocianego wieku, napisany przez Józefę Żdżarską.

I nadto tejże samej autorki pod cyfrą J. Ż. następujące powiastki: Lirnik wioskowy. — Smutne skutki przeklinania.—Smutne skutki pijaństwa. — Mądrość wieśniacza. — Miłość bliźniego. — Sen Marysi o Najświętszej Pannie. — Kazania niedzielne. Cena każdej z tych powiastek kop. 2 i pół czyli pięć groszy.

Józefa Ungra Kalendarz illustrowany, na rok 1886, wyszedł z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych. Cena egzemplarza kop. 50.

Liry polskiej wyszła książeczka siódma, nakładem A. Lesmana i obejmuje wyjątki poetyczne ośmnastu autorów. Cena kop. 30.

Nakładem księgarni Maurycego Orgelbranda, wyszły następujące dzieła:

Grzechy królewskie, powieść historyczna, napisana przez Wincentego Rapackiego, w dwóch tomach.

Dzisiejsi, komedya w jednym akcie, oryginalnie napisana przez Maryana Gawalewicza.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Ноября 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).



N. 1. Szlak robotą krzyżową na kanwie. Do ryc. 5 w N. 46.

Opis do N-ru 47.

(Dalszy ciąg.)

N. 15, 39 i 49-51. Sukienka z przeszytemi marszczkami (*smock*) dla panienki lat 8—10. Krój na arkuszu N. V, fig. 29-33. Sukieneczka przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 15 i 39 odrobiona jest podług angielskiego modelu z czerwonawo bronzowego ostrego wełnianego materyału z przemarszczeniem *smock*, przeszytem filozelą tegoż koloru. Przeszycie deseniowe na ryc. 15 dane podług ryc. 49, a przy sukience ryc. 39 podług ryc. 50; na rękawach, przodach i plecach przeszycie dane wzdłuż na 12 cent. Ażeby sukienka dała się wkładać i zdejmować przez głowę, ma z przodu i z tyłu przy wykroju szyi dwa rozporki po 12 cent. długie, z jednego brzegu wązko obrąbione, z drugiego opatrzone listewką 4 cent. szeroką; do zapięcia służą płaskie guziczki poszyte materyałem i pentelki z jedwabnego sznureczka. Przody i plecy przemarszczone są podług fig. 29, wzdłuż na 12 cent. i zwierzchu ozdobnie przeszyte, na 12 cent. wszerz. Szew ramienia ginie pod ramiączkiem fig. 30, ozdobionem wyszyciem ściegiem sznureczkowym podług ryc. 51. Kołnierzyk wycięty podług fig. 33 z podwójnie złożonego materyału i ostębnowany wokoło brzegów, przyszywa się do wykroju szyi od gwiazdki do gwiazdki i zdobi na czterech rogach wyszyciem jak na ramiączkach; na mankiecie fig. 32, wywiniętym podług linii kropkowanej, wyszyta jest także gałązka. Rękaw składa się z jednego kawałka, podług linii prostych, danych na fig. 31, przemarszczonego w górze na 24, u dołu na 17 cent. szerokości; deseniowe przeszycie zmarszczek dane na 7 cent. poniżej ramienia i o 4 cent. od dolnego brzegu, na 8 cent. wszerz. Zamiast mankieta wykładanego można dolny brzeg rękawa



N. 2. Paletocik z kamizelką. Patrz ryc. 29. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 75—80.

N. 4. Fasonik z główką sznelową.

N. 5. Fasonik naszyty sutaszem i sznureczkiem.

N. 14. Paletot z paskiem dla dziewczynki lat 7—9. Patrz ryc. 13. Krój i opis na arkuszu N. IV, fig. 22—28.

N. 24. Berecik z futra foki.

N. 15. Sukienka z przemarszczeniem (smock). Patrz ryc. 39 i 49—51.

N. 9. Ubranie dla chłopca lat 4—6. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 97—104.

N. 10. Ubranie dla dziewczynki lat 6-8. Patrz fig. 114.

N. 11. Paletocik dla chłopczyka.

N. 12. Paletocik dla dziewczynki lat 4—6. Patrz ryc. 40. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 91—96.

N, 13. Paletocik z paskiem. Patrz r. 14. Krój i opis na arkuszu N. IV, fig. 22—28.

N. 6 Fasonik filcowy z rondkiem sznelowem.

N. 17. Paletocik krótki wcinany. Patrz ryc. 18. Krój i opis na arkuszu N. III, fig. 17-21.

N. 3. Okrycie krótkie z podwiniętemi u dołu rękawami. Patrz ryc. 38.

N. 16. Paletocik z szerokim kołnierzem, dla chłopca lat 7—9. Krój i opis na arkuszu N. VI, f. 34-41.

N. 7. Fasonik pokryty krymskim barankiem.

N. 8. Fasonik z pluszu i filcu.

N. 25. Mufka odpowiednia do ryc. 27.

N. 20. Paletot z kamizelką. Patrz ryc. 21. Krój i opis na arkuszu N. XII, fig. 69—74.

N. 28. Pelerynka sznelowa. Patrz ryc. 16 w N. 46. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 107.

N. 26—27. Kołnierze futrzane. Krój do r. 26 na arkuszu N. XVIII, fig. 105—106.

N. 21. Paletot z kamizelką. Patrz ryc. 20. Krój i opis na arkuszu N. XII, fig. 69—74.

N. 18. Paletocik krótki wcinany. Patrz ryc. 17. Krój i opis na arkuszu N. III. fig. 17—21.

N. 19. Okrycie krótkie formą dolmanową. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 81—84a.

N. 22. Stanik z kamizelką.

N. 23. Stanik z bawetowym paskiem. Krój na arkuszu N. XI, fig. 60—68.

N. 29. Plecy do ryc. 2.

N. 30. Szarfa jedwabna w deseń aksamitny.

N. 32—33. Suknia z długą tuniką. Krój na arkuszu N. XX, fig. 108.

N. 34—35. Paletot dla panienki lat 9—11. Krój na arkuszu N. V, fig. 85—90.

N. 36. Płaszczyk formą burnusa. Krój i opis na arkuszu N. VIII, fig. 47—48.

N. 37. Płaszczyk dolmanowy. Krój, plecy i opis na arkuszu N. II, fig. 10—16.

N. 31. Szarfa morowa w pasy zielone i ponsowe.

N. 38. Plecy do ryc. 3.



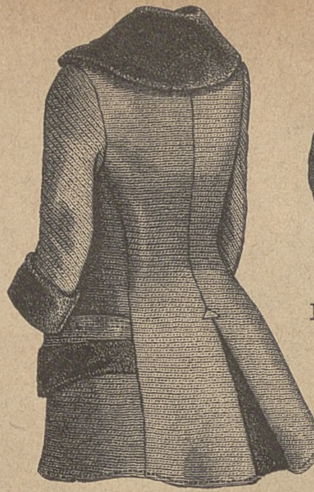
N. 41. Guzik metalowy.



N. 42. Guzik metalowy nakształt tarczy.



N. 39. Sukienka z przemarszczeniem smock. Patrz ryc. 15 i 49—51.



N. 40. Paletocik dla dziewczynki lat 4—6. Patrz ryc. 12. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 91—96.

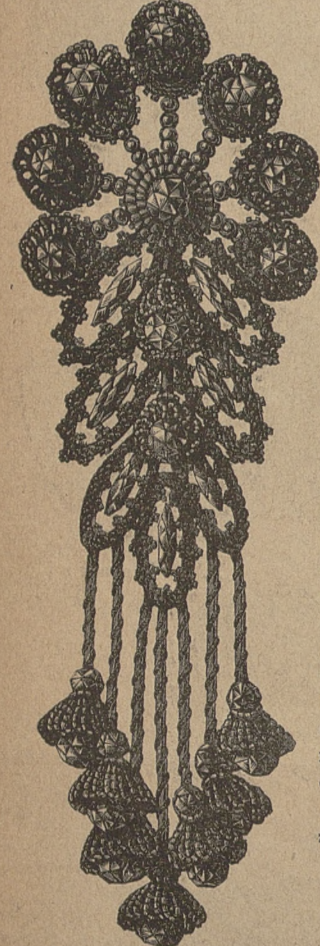


N. 43. Guzik szmuklerski.

puścić wolno nakształt falbanki. Szew rękawa nie dochodzi na 10 cent. do dołu, lecz zapina go się na guziki pokryte materyałem; w miejscu oznaczonem gwiazdką założona jest fałda, zastępująca wcięcie. Spódniczkę zdobią trzy zakładki. Szarfa liczy 29 cent. szerokości a 246 cent. długości.

N. 19. Okrycie krótkie dolmanowe. Krój i plecy na arkuszu N. XIV, fig. 81—84a.

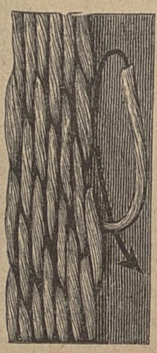
Przody i plecy krajane podług fig. 81—82, zszywa się podług odpowiednich liter; rękaw złączony szwem wszyty jest od 7—9, długość jego dopełnia mankiet podszyty podług linii prostej; druga linia prosta oznacza szerokość oszycia z piór, danego również wzdłuż przodów i u dołu; z boków w miejscu gdzie niema oszycia dane rozety szmuklerskie z frendzlą;



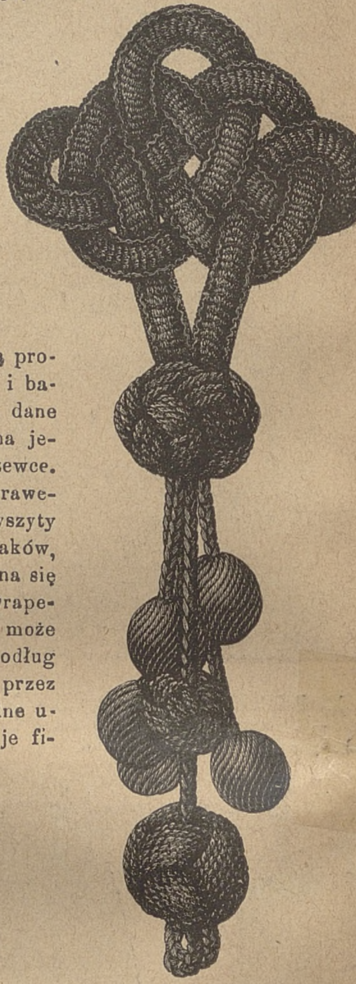
N. 44. Rozeta szmuklerska z grelotkami z perełek.



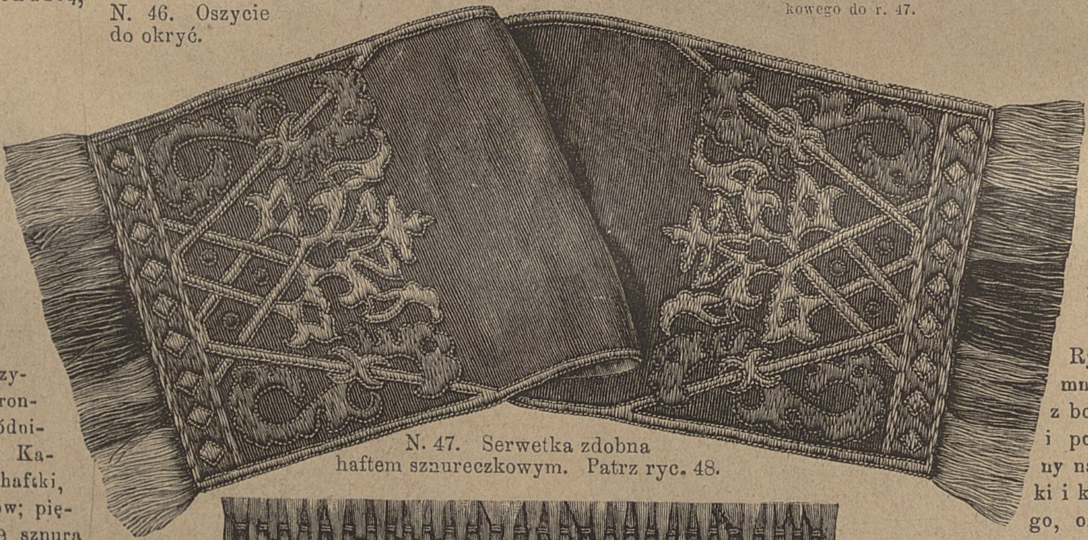
N. 46. Oszycie do okryć.



N. 48. Wszycie ściegu sznureczkowego do r. 47.



N. 45. Rozeta ze sznura z grelotkami szmuklerskiemi.



N. 47. Serwetka zdobna haftem sznureczkowym. Patrz ryc. 48.

takież rozety bez frendzli zdobią mankiety. Kołnierz stojący 5 cent. szeroki, pokryty oszyciem.

N. 22. Stanik z kamizelką.

Ryc. 22 przedstawia gustownie przybrany stanik od sukni odrobionej z bronzowego kaszmiru i takiejże mory (spódnica morowa, draperya kaszmirowa). Kamizelka morowa zapięta na kryte haftki, podchodzi pod baskiną aż do boczków; piękne guziki szmuklerskie i pentlice ze sznura zapinają rozchodzące się przody stanika, zdobne wykładami morowemi.

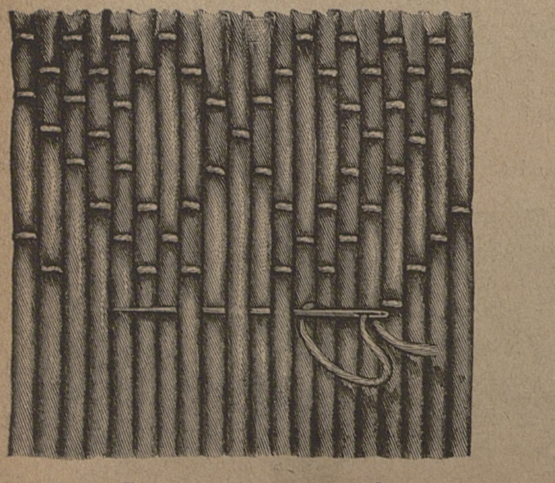
N. 23. Stanik z paskiem bawetowym. Krój i plecy na arkuszu N. XI, fig. 60—68.

Model sukni był z chustek pledowych niebieskawo popielatych w kratę ponsową, przybrany niebieskawo popielatym aksamitem. Na gładko dopasowanej podszewce, zapiętej z przodu na guziki, materyał zwierzchni przodów krajany szerzej, zszyty z podszewką dopiero w drugiej zaszewce, przymarszczony jest u góry i u dołu i podług odpowiednich liter przymocowany do podszewki. Odpowiednio do stojącego kołnierza fig. 66, są również ranwersy wpuszczone w szew ramienia, wykłady na rękawach odznaczone linią prostą na fig. 64 i bawetowy pasek dane z aksamitu na jedwabnej podszewce. Pasek ten z prawego boku przyszyty jest podług znaków, z lewego zapina się na haftki. Drapery przednia może być upięta podług podawanych przez nas rycin; tylne upięcie wskazuje figura 68.

N. 24—27. Garnitur futrzany. Krój pelerynki na arkuszu N. XVIII, fig. 105—106.

Ryc. 24 przedstawia czapeczkę z ciemno bronzowego futra foki, zdobną z boku futrzaną rozetą w kształcie liści i pomponów. Garnitur przedstawiony na ryc. 25—27 jest złożony z mufki i kołnierza pelerynowego lub stojącego, ozdobionych kokardami z wstążki ottoman bronzowej i agrafkami w kształcie łepków zwierzęcych.

(*D. n.*)



N. 49. Przeszywanie marszczek do ryc. 50.



N. 50. Marszczki przeszywane wierzchem smock, do ryc. 39.



N. 51. Gałązka ściegiem sznureczkowym, do ryc. 39.